

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

5.

POWIEŚĆ.

— Wstrętne grzeczności, proszę! — zawołała p. Czarska z szyderczym uśmiechem — na co je pani przyjmowałaś, myślałaś może, że się z tobą ożeni? Pomyliłaś się moja panno, na żonę wybiera się inna, stara się o pannę Klarę i jest z nią prawie po słowie. Co zaś do mnie pojmujesz pani, że po tem com się dowiedziała...

— Nie kończ pani — przerwała Celina dumnie, bez przypomnienia opuścić dom, w którym karmiono mnie niewdzięcznością i pracą nad siły, wplerw jednak musi pani dowiedzieć się całej prawdy. Tak jest, pan Wirski gdzie mógł narzucił mi swoją obecność, powinna była to pani spostrzedz i zapobiedz, ale wówczas nie robiła pani żadnych uwag i sama musiałam się bronić! Raz nawet oświadczył mi się, choć niczem do tego nie był ośmielony, odrzuciłam go, bo mi jest obojętny i nie myślę iść za męża...

Tych słów jednak p. Czarska dłużej znieść nie mogła.

— On się pani oświadczył, a pani go odrzuciła — przerwała gwałtownie — i pani myślisz, że ja temu uwierzę? nie moja pani, na to mnie nie zapiesz! Nie chcąc jednak słuchać po raz drugi podobnych bredni, wymagam, abyś pani natychmiast dom mój opuściła.

— Dzisiaj — zawołała dziewczyna — coś ludzie na to powiedzą...

— Aha trafiłam wreszcie na drażliwą strunę? — zaśmiała się z tryumfem — będąc tak niewinna nie masz pani powodu obawiać się ludzi — dodała zjadliwie.

— Masz pani słuszość! zawołała oburzona Celina — pójdę i oby ten złośliwy i nieszlachetny podstęp nie zwrócił się kiedyś przeciw pani samej.

Spakowawszy na prędce swoje rzeczy, zawołała dorożkę i kazała zawieźć się do właścielki domu, w którym niegdyś mieszkał jej ojciec.

Po dłuższym namyśle postanowiła zdać w seminaryum maturę i zostać nauczycielką rządową. Posiadając dużo inteligencji i nie dawno opuściwszy pensję, niepotrzebowała długiego czasu na przygotowanie. Po kilkutygodniowym ślęczeniu zdała maturę i znowu nie wiedziała co ze sobą robić, gdyby nie dyrektor szkoły, który ujęty jej młodością i sierotnictwem pomógł w staraniach o posadę praktykantki w swej szkole. Od niedawna dopiero praktykantki otrzymywały pensję nędzną wprawdzie, bo za 3 — 4 godzin dziennie dostawały kilka set marek rocznie, a jednak i na to liche miejsce znalazło się dużo kandydatek i tylko dzięki poparciu dyrektora utrzymała się przy nim Celina. Prócz tego dostała prywatną lekcję i tak z nową odwagą, zaczynała to nowe życie.

Był to zimny wieczór listopadowy! Śnieg padał grubymi płatami, wichur dął przeraźliwie, a płomyki gazowe rzucały drżące światło na opustoszałe ulice.

W lekkim płaszczku, zaledwie chroniącym od chłodu biegała Celina do domu. Obecnie mieszkała u matki znajomej nauczycielki, która tym sposobem uzupełniała swój skromny budżet domowy.

Skreśliła w ulicę Bracką i weszła do jednej z owych starych, typowych krakowskich kamienic. Przeszła przez wielką sklepioną sieni o grubych murach, przez cuchnące, hałaśliwe podwórko i zaczęła się wspinać po wązkich i brudnych schodach oficyny. Minęła ciasną sionkę, ciemną bez okna kuchnię i weszła w kofic do wązkiego, a długiego pokoiku.

Lampa już się świeciła, a za stołem siedziały trzy kobiety, właścicielka mieszkania p. Domejkowa i dwie jej córki nauczycielki szkoły wy-

działowej. Otwarcie drzwi prowadziły do drugiego, większego pokoju obecnie zupełnie ciemnego.

— A p. Celina — mruknęła p. Domejkowa niemłoda brunetka o ściągłej twarzy i czarnych świdrujących oczach. — Gdzie to pani tak długo bawiła? Dawno już jesteśmy po kawie, a to nieustanne odgrzewanie psuje cały porządek domowy.

— Zatrzymałam się trochę dłużej na lekcji — odparła Celina zdejmując płaszcz — a za to opóźnienie chętnie wypiję zimną kawę.

— Choćby nawet pani chciała, toby nie odgrzewała — odpowiedziała p. Domejkowa zgryźliwie — dosyć nadrepcę się cały dzień, tyle mego spoczynku co teraz, wkrótce znowu trzeba wstać i robić kolację. Podwieczorek pani w piecyku, a niech pani wypije w kuchni, bo tutaj dziewczęta porozkładają już swoje roboty.

Nie było tutaj miejsca na niepotrzebne ceremonie i nikt nie zadawał sobie trudu z biedną Celiną. Co prawda za sześćdziesiąt mk. miesięcznie nie mogła żądać ani lepszego pomieszczenia nad łóżko w kąciu, ani większej grzeczności nad tę jaka ją spotykała.

Chociaż tak zwana kawa dużo pozostawiała do życzenia, ruch i dwugodzinna lekcja zaostrzyły młody apetyt. Wkrótce z pękiem zeszytów szkolnych w ręku zbliżyła się Celina do stołu upatrując miejsca dla siebie.

— Co za nieostrożność! — zawołała panna Wanda wyglądająca na trzydziestkę, o bladej, szerokiej twarzy, zadartym nosku i ciemnych włosach — potrafiłaś mię, a kajeta moich uczennic, to nie zasmarowane wypracowania twoich sztabaków.

— Przepraszam — rzekła zgromiona Celina — możebyś się trochę usunęła Jadwisiu — dodała, zwracając się do młodszej siostry, typowej brunetki z czarnymi oczami, złotawej cerze i lekkim meszku na górnej wardze.

— A gdzie — odparła nie podnosząc głowy — przecież widzisz, że rysuję.

— Włęcz żadna z was miejsca mi nie robi? — zawołała zniecierpliwiona Celina.

— Usiądź przy mamie — rzekła Jadwiga, wskazując głową na matkę robiącą pociochoję.

— Przy mamie — zawołała p. Domejkowa — to już mnie wygodę nie potrzeba?, dobrze, dobrze — dodała z goryczą — usunę się, nawet odejdę, może to was zadowoli.

Przy tych słowach wstała od stołu, a siadłszy w najciemniejszym kącie mówiła dalej:

— No coś dobrze wam teraz? Takie to czas, zamiast, żeby dzieci malce, to matka dzieciom musi usłepować.

— O, już mama zaczyna zrędzić — zauważyła z cicha starsza siostra — i kto wie jak prędko skończy.

— Ach, żeby już lato nadeszło i nie było potrzeby pracować przy lampie — westchnęła cichutko Celina.

— Jakże tam dzisiaj poszło ci w szkole — ozwała się Wanda po chwilowej ciszy.

— Nie dziw się naszym pytaniami — zauważyła Jadwiga — jesteś jeszcze taką nowicjuszką, że się boimy, abyś nie popełniła czegoś niestosownego.

— Wtedy odpowiadałabym sama za siebie — odparła Celina spokojnie.

— Tylko się nie oburzaj, a lepiej powiedz jak tam było w szkole — przerwała Jadwiga.

— Szkoła, szkoła, czy to taka wielka filozofia? żeby tylko dzieci były spokojniejsze, tobym sobie doskonale dawała radę.

— Ba w tem właśnie leży cała filozofia — zawołała szyderczo Wanda — odkąd pamiętam moje dzieci były zawsze spokojne — odparła chępliwie — mam wrodzony talent pedagogiczny.

— Przypominam sobie twoją początkową karierę nauczycielską — ozwała się Jadwiga złośliwie — rozdawałaś klapsy na prawo i lewo skarżyłaś na dzieci przed dyrektorką.

— Czy miałam z tego powodu jakie nieprzyjemności? zapytała Wanda wcale nie zmieszana.

— Nie, ale tylko dla tego, że dyrektorka była chora i niedołężna.

— Przeciwnie, dlatego, że wypełniałam dobrze moje obowiązki — rzekła wyniośle Wanda — lecz co tu gadać z osobą, która po jednym egzaminie jest tak zmęczoną, że musi kilka lat wypoczywać.

— Ba też mam inne widoki na przyszłość, nie potrzebuję całe życie kuć z dziećmi gramałykę.

— Czy nie zamążpójście? — zapytała Wanda szyderczo.

— Bójcie się Boga, przestańcie! — przerwała coraz gorętszy spór Celina — tak ciągle gadacie, że nie jestem w stanie poprawić tych zadań.

— Osobliwie ty nad twoimi potrzebujesz dużo wysiłku — zaśmiała się Jadwiga.

— Zważywszy moją nieudolność...

— Widziałam, że znowu przyniosłaś jakieś książki — przerwała Wanda — zapewne powieści, czy nigdy nie przestaniesz wczytywać się w te głupie fantazyje?

— Przyznam się, że nadewszystko je lubię — odparła zapytana.

— Nawet w tem widać jak niedojrzała jesteś? — rzekła Wanda namaszczonej tonem — kobieta samodzielna, a przynajmniej jak ty, dążąca do samodzielności, powinna przewyciężyć to zamilowanie do bajek (czem bowiem innem są powieści) a zająć się rzeczywistością wglądać w życie...

— Ach coś życie na tem straci, gdy przez chwilę czytania ludzę się, że świat jest szlachetny, że mężczyźni są bezinteresowni, a kobiety solidarne? Życie! ono czeka na mnie i nie darule mi pewnie...

— W tej chwili wszedł elastycznym krokiem młody wysmukły brunet o bystrym spojrzeniu i regularnych rysach. Był to dr Władysław, syn pani Domejkowej, asystent w szpitalu, mający tam również bezpłatne mieszkanie.

— Dobry wieczór panno Celino, dobry wieczór dziewczęta! — zawołał zdejmując palto i rzucając je na łóżko. — Ależ tu dyabelnie ciasno i gorąco! Dlaczegoż to siedzicie w tej dziurze, kiedy macie większy pokój! Ano, dalej przenośmy się! bierzcie lampę i chodźcie za mną.

— Ależ Władek, wiesz jak mama nie lubi, kiedy siedzimy w bawialnym pokoju — zaprotestowała Wanda krzywiąc się...

— Co to za bawialny! kogo tu bawicie? — zaśmiał się p. Władysław stawiając lampę na stole wysuniętym na środek — a może tak go szanujecie dla owych wymarzonych konkurentów, którzy jakoś bardzo się spóźniają.

— Dla konkurentów, co za gadanie! — mówiła Wanda ulegając przemocy i przenosząc swoje rzeczy do dużego pokoju zastawionego tandetnymi meblami z nieodczownym fortepianem — a zresztą cóżby w tem było złego — kończyła z przymuszonym uśmiechem — czyż to nam już młodość minęła, czy postarzałyśmy się?

— Blisko, już blisko tego — odparł brat drwiąco siadając za stołem — masz ze dwadzieścia ośm lat, a panna w tym wieku...

— Proszę, dwadzieścia ośm! — zawołała z oburzeniem — szkoda, że głośniejszego tego nie trąbisz! Nikt by ci jednak nie uwierzył, bo i tyle nie mam i na tyle nie wyglądam —

— Wyglądasz na więcej, wierz mi, twoja złota cera —

— Władek przestań, bo już dłużej nie wytrzymam! Pewnie wyprawileś jakiegoś pacjenta na tamten świat i dlatego jesteś taki zjadliwy.

— Nie o pacjenta tu chodzi, lecz o twoją metrykę.

— Nie chcesz mówić o pacjentach? wierzę, bo żadnego nie masz! ja, chociaż kobieta, a zarabiam więcej i gdyby nie miejsce asystenta i nie rozmaite szachrajstwa szpitalne...

— Teraz ja ci mówię przestań! — krzyknął błędąc ze złości p. Władysław — No, krzyby się z tobą ożenił, ty zjadliwa jaszczurko, ten niech się zaraz rzuci do Wisły!

Przestraszona Celina spoglądała to na jedno, to na drugie, Jadwigę zaś przysłuchiwała się z uśmiechem niby coś rysując.

— O! p. Celina to co innego — mówił p. Władysław już uspokojony w chwalebnej intencji pomszczenia się na siostrze — to jest okaz zdrowia, młodości, urody, prawda i to, że co lat ośmińście to nie dwadzieścia ośm.

— Przepraszam pana, mam lat dwadzieścia jeden — odezwała się Celina.

— Cóż z tego, nie wygiada pani ani na ośmińście i dziwię się jak mógł dyrektor wybrać panią na nauczycielkę, ręczę, że te bębny wcale pani nie słuchają i więcej hałasują na lekcji pani jak na pauzie.

— Niestety — szepnęła Celina.

(Dalej ciąg nastąpi).